

Andrzej Nowak: Raport z domu umarłych

Wizja historii i „słusznej” pamięci, jaka stąd wynika, jest jednak szokująco prymitywna i wywołuje raczej lęk o terażniejszość naszego kontynentu.



Na początku maja tego roku w Brukseli otworzył swe podwoje Dom Europejskiej Historii. Muzeum - wzorzec pamięci, jaką powinni wyrobić sobie obywatele Unii - jest oficjalnym projektem Parlamentu Europejskiego i mieści się tuż obok jego głównej siedziby. Ale redukcja arcybogatej i skomplikowanej europejskiej historii przeprowadzona w brukselskim Domu przypomina schemat najbardziej tępej komunistycznej propagandy z czasów Józefa Stalina: od zła i rozbitcia do dobra i zjednoczenia, od ciemności do światła – przeczytaj relację prof. Andrzeja Nowaka z jego wizyty w Domu Europejskiej Historii.

Tę ideę zainicjował już 10 lat temu ówczesny przewodniczący parlamentu Hans-Gert Pottering. Obecny przewodniczący Antonio Tajani, inaugurując działalność Domu, powiedział jasno: to nie ma być tylko miejsce, w którym opowiada się o historii Europy, lecz takie, które powinno tworzyć tożsamość i pamięć europejską. „Wierzę w Unię Europejską, ponieważ nie mamy innych rozwiązań. [...] Spojrzenie wstecz w naszą historię wzmocni naszą tożsamość”. Przyszłość rysuje się niepewnie, trzeba więc szukać ratunku (ucieczki?) w przeszłości. Już nie w obietnicy lepszego jutra, ale w mocy historycznej tożsamości, budowanej przez muzea, przez tworzoną w nich wizję wspólnej pamięci. W utrwalanym w owej wizji przekonaniu, że jedyną alternatywą dla obecnego projektu Unii może być tylko piekło na ziemi, tej ziemi.

Wydano więc na ten cel nieco ponad 50 milionów euro z kieszeni obywateli Unii (nie tak dużo: Polska jest dużo bardziej hojna: sztandarowy projekt polityki historycznej premiera Tuska, Muzeum II Wojny, kosztował polskiego podatnika więcej niż 100 milionów euro). Przyjrzyjmy się efektowi. Pięć pięter, ponad 4 tys. m² ekspozycji. Pod eksponatami brak podpisów – wystawę trzeba zwiedzać z tabletem w ręce, z którego można odsłuchać w jednym z 24 języków Unii komentarz do tego, co oglądamy.

Podstawą do poniższych uwag jest wizyta w Domu, jaką miałem okazję złożyć 7 czerwca wspólnie z kilkudziesięcioma uczestnikami międzynarodowej konferencji poświęconej przemocy w XX w., a zorganizowanej przez Europejską Sieć Pamięci i Solidarności. Wizyta trwała nieco ponad trzy godziny. Na pewno nie dość długo, by dostrzec

wszystkie niuanse tak obszernej wystawy. Staraliśmy się jednak, jak umieliśmy, wchłonąć jak najwięcej treści ukazywanych w Domu i przekazywanych w oficjalnym komentarzu słownym.

Używam tutaj liczby mnogiej, gdyż aby połączyć możliwości percepcyjne i móc na bieżąco konfrontować nasze wrażenia, szliśmy przez tę wystawę w trzy osoby, wspólnie z dr. Łukaszem Kamińskim (byłym prezesem IPN) oraz dr. Łukaszem Adamskim (zastępcą dyrektora Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu Porozumienia). Mamy różne wrażliwości historyczne, zapewne także niejednolite polityczne sympatie, wszyscy trzej byliśmy jednak dosłownie zaszokowani przekazem emanującym z brukselskiego Domu. I nie my jedni. Ale o tym później. Najpierw o samej ekspozycji.

Na najniższym poziomie także najmniejsza część wystawy: od mitu Europy do XIX w. Tu rozmach wystawienniczy przypomina przykładowy dom kultury. Jedyna różnica polega na tym, że brak tutaj kultury. Jest kilka oszklonych szafek ze specyficznymi przedstawionymi informacjami. O czym? O chrześcijaństwie, filozofii, narodzie, komunizmie – w historii naszego kontynentu. Po mniej niż dwie minuty o każdym z tych zjawisk.

O chrześcijaństwie można się dowiedzieć, że religia ta dominowała nad Europą przez długie wieki – ale już chyba dłużej nie będzie, sugeruje z nadzieją komentarz z tabletu. Brak tu miejsca na takie „drobiazgi”, dla których miliony ludzi na całym świecie z szacunkiem i podziwem wymawiają słowo „Europa”: dla dziedzictwa chrześcijańskiej Europy – dla instytucji uniwersytetów, dla katedr – od romańskich i gotyckich aż po barcelońską Sagrada Familia, dla choćby najmniejszej wzmianki o

muzyce sakralnej – od Guillaumea de Machaulta, poprzez Bacha, Mozarta, Beethovena, po Strawińskiego, Szymanowskiego, Góreckiego i Parta, dla całego malarstwa inspirowanego chrześcijaństwem, od Giotta co najmniej poczynając, poprzez Piera della Francescę, Leonarda, Rafaela, Durera, aż po Dalego przynajmniej...

Dalej są narody. Pojawiły się w ostatnich dwóch wiekach (ciekawe, skąd się wzięli w Europie np. Żydzi czy Ormianie, czy nie było ich przed XIX w., czy nie byli narodami?

I czy rzeczywiście nie było żadnych Anglików, Polaków ani Węgrów przed XIX w? Belgów nie było na pewno – to fakt). Wedle narracji muzealnego tabletu dawniej ludzie byli po prostu mieszkańcami imperiów i królestw – i jakoś żyli. Jako przykłady powstania narodu podane są Polska i Grecja, które miały ujawnić swoje istnienie 200 lat temu na ruinach imperiów (sic!). Przelotny fenomen narodów, miejmy nadzieję, wkrótce zejdzie z areny dziejów: to jest wymowa ideowego wprowadzenia do Domu Historii Europy.

Filozofia - owszem, była taka w Europie. Podane są jej dwa – słownie: dwa – przykłady: Arystoteles i Sławoj Żiżek (dla niezorientowanych: współczesny słoweński neomarksista-freudysta). Dla Platona, Augustyna, Tomasza z Akwinu, a nawet Francisca Bacona, Hobbesa, Locke'a, Rousseau czy Kanta brakuje w tej europejskiej pamięci miejsca. Nie są ważni dla naszego kontynentu, dla specyfiki jego myśli. Są wygnani z tej nowej, wspaniałej Europy, tak jak Platon wygnał niegdyś ze swego doskonałego miasta poetów... Nie ma też w tej nowej, idealnej Europie nawet jednej gablotki poświęconej tak ważnej chyba w

historii tożsamości naszego kontynentu idei jak wolność, wolność polityczna - w swych rozmaitych znaczeniach, republikańskim i liberalnym. Jest tylko jedna wzmianka o greckiej demokracji.

Za to jest komunizm. I temu zjawisku jest poświęcona osobna gablota, jak narodom czy chrześcijaństwu, ale z inną wymową. Ta szlachetna idea (na kolejnym piętrze, obok egzemplarza „Manifestu Komunistycznego”, można wysłuchać z tabletu słów o marksizmie jako „płomiennym proteście” przeciw niesprawiedliwości świata kapitalizmu europejskiego) przeżywała, co prawda, trudne chwile w drugiej połowie XX w. w Europie Wschodniej, ale - sugeruje komentarz - wcale nie musi to znaczyć, że straciła dziś swoje znaczenie i wspaniałą przyszłość.

Oczywiście na tym pierwszym, wstępnym poziomie, dowiadujemy się – i słusznie – o zbrodniach europejskiego kolonializmu (choć może szkoda, że w Brukseli nie poświęcono odrębnej uwagi największej z owych zbrodni - doprowadzeniu przez administrację króla Leopolda II do śmierci milionów mieszkańców Konga belgijskiego w końcu XIX w.). Nie dowiadujemy się jednak wyraźnie, które kraje europejskie mają w tych zbrodniach udział (przypomnę: na pewno dziewięć krajów Europy Zachodniej - Wielka Brytania, Francja, Holandia, Belgia, Hiszpania, Portugalia, Włochy, Niemcy, Dania), a które raczej były ofiarami kolonializmu (choćby kraje bałkańskie – ofiary kolonializmu tureckiego, islamskiego, że nie wspomnę o środkowo- i wschodnioeuropejskich ofiarach kolonializmu rosyjskiego czy niemieckiego...).

Przypominając jednak ogólnie o znaczeniu kolonializmu jako zjawiska charakteryzującego Europę, autorzy narracji tej części wystawy podkreślają, że wyzyskując resztę świata, Europa - zwłaszcza w XIX w. - pyszniła się swoją rzekomą wyższością technologiczną czy kulturową. I dlatego zapewne ani fenomenowi rozwoju nauki i techniki, ani też kulturze w ogóle na obszarze Europy Dom Historii naszego kontynentu nie poświęca niemal żadnej uwagi.

* * *

Tak wyposażeni w zestaw idei koniecznych do stania się świadomym Europejczykiem wchodzimy na następne piętro. Wspinamy się po schodach, których fantazyjna konstrukcja przypomina żywo projekt gigantycznego pomnika III Międzynarodówki, jaki miał ozdobić rewolucyjną Moskwę po 1917 r. Wpadamy w jądro ciemności wieku XIX. Tu szaleje nacjonalizm i kapitalizm. Nacjonalizm symbolizują książki, które uczą nienawiści: wśród nich pierwszy polski akcent – *Trylogia* Henryka Sienkiewicza. Jest jednak światełko nadziei: ogromna reprodukcja symbolu rewolucji francuskiej

„Wolności wiodącej lud na barykady” Eugene’a Delacroix. I jest dalej marksizm, jest ruch robotniczy. Społeczne napięcia i międzynarodowe rywalizacje (twórcy wystawy podkreślają: międzynarodowe, a nie, jak było w rzeczywistości, między-imperialne; za wielkie zło odpowiadają przede wszystkim narody i nacjonalizmy) doprowadzają w końcu do gigantycznej rzezi: do I wojny światowej. Część ekspozycji przedstawiająca tę wojnę jest stosunkowo najciekawsza. Tu uwagę przykuwa kopia pistoletu, z którego Gavrilo Princip zastrzelił w Saraje-

wie arcyksięcia. Tu można zajrzeć także w osobiste doświadczenia żołnierzy, zapisane na kartkach z frontu, dostępnych na kilku obracających się bębnach; można poczuć grozę nowego typu wojny, oglądając zestawienie najróżniejszych masek przeciwgazowych, wprowadzanych przez poszczególne armie po 1915 r.

Z Wielkiej Wojny wynurzają się „nowe narody” – i oczywiście nacjonalizmy. Wynurza się jednak również fascynujący eksperyment: próba budowy nowego, sprawiedliwego świata, opartego na idei komunizmu. Próba ta jednak dokonuje się w trudnych warunkach: na straszliwy „biały” terror, kontrrewolucję, interwencję kapitalistyczną trzeba odpowiedzieć „czerwonym” terrorem.

Tu pojawia się drugi Polak na tej wystawie, a pierwszy, którego wizerunek możemy podziwiać: to Feliks Dzierżyński. Pojawia się na pewno w znacznie bardziej pozytywnym kontekście niż wcześniej prezentowany przez swoją nacjonalistyczną książkę Sienkiewicz.

Okres międzywojnia to z jednej strony kryzys demokracji parlamentarnej, faszyzacja, rozwój autorytaryzmów (prezentuje to zjawisko m.in. figurka Piłsudskiego), ale także odpowiedź na te zagrożenia w postaci ruchu pacyfistycznego i projektów paneuropejskiej organizacji, takich jak Richarda Coudenhove-Kalergi. Mamy więc odwieczną walkę dobra ze złem. Koncentruje się ona w wojnie domowej w Hiszpanii. Siły zła reprezentuje oczywiście Franco. Siły dobra reprezentują republikanie i wspierający ich ZSRR.

Z tego starcia wybucha nowa wojna światowa. Głos z tabletu nie tłumaczy jednak, jak to się stało (i dlaczego), że wspierający dotąd siły dobra Związek Radziecki sprzymierza się z Hitlerem w pakcie Ribbentrop-Molotow. Informacja o zawarciu takiego paktu jest podana i – zgodnie z założeniami tego muzeum – „zbalansowana”. Balans polega na tym, że otrzymujemy do wglądu dwa wycinki z gazet, usprawiedliwiające ten pakt jako słuszny ruch w kierunku obrony pokoju, a także dwa wycinki z gazet potępiających wynikającą z paktu agresję. Te dwa pierwsze to przedstawiony oczywiście w języku francuskim artykuł z komunistycznej „L’Humanite” oraz fragment moskiewskiej „Prawdy”; argumenty krytyczne wobec paktu Stalina z Hitlerem pozna tylko ten, kto zna język polski – owe dwa wycinki potępiające 23 sierpnia 1939 r. pochodzą z prasy polskiej. Zastanawiam się: ilu widzów wystawy w Brukseli zna francuski lub rosyjski, a ilu zna polski? Od tego akurat zależy możliwość wyrobienia sobie opinii na temat tego aspektu genezy II wojny (podkreślę: tablet „oprowadzający” po muzeum milczy całkowicie na temat tego „epizodu”).

Wchodzimy zatem w noc II wojny. Doświadczamy chaosu. Także wystawienniczego. „Naziści” i ich sojusznicy odpowiadają za masowe zbrodnie i cierpienia ludności cywilnej. Cykl fotografii mających ilustrować to straszne zjawisko i nadać ludzką twarz ofiarom otwiera – proszę zgadnąć co? Zdjęcie wymizerowanej, w oczywisty sposób dotkniętej tragedią rodziny niemieckich wypędzonych z 1945 r. Dalej idą, i słusznie, zabici partyzanci na Białorusi, zagłodzeni na śmierć jeńcy z Armii Czerwonej, wiele innych kategorii, na samym końcu jest uśmiechnięta buzia młodej, elegancko ubranej i uczesanej Polki: wychodzi z obozu przesiedleńców (dipisów). Czy to właściwie dobrane zdjęcia, proporcjonalne do skali doświadczeń, do rzeczywistej historii?

Jaka szkoda, że na wystawie zabrakło miejsca na choćby najkrótszą wzmiankę o tym, że wysiedlenia zainauguował nie kto inny jak Adolf Hitler (oczywiście nie mówiąc o wcześniejszej i na bez porównania większą skalę funkcjonującej maszynie deportacji całych narodów i klas w Kraju Rad). Hitler nakazał „swoim” Niemcom przenieść się z przekazanych Rosji (paktom Ribbentrop-Mołotow) republik nadbałtyckich, i ci poszli, prosto pod ciepłe jeszcze pierzyny wypędzonych właśnie z „Warthegau” i Pomorza Polaków... Ale kto by się takimi szczegółami przejmował w Domu Historii Europy. Nie ma więc o nich mowy. Tu przekaz jest jasny: cierpienia ludności cywilnej w czasie II wojny – to na pierwszym miejscu wypędzeni Niemcy. Kawa na łąkę.

Był, owszem, jakiś antynazistowski ruch oporu. Zauważyłem francuski i norweski (choć jest też wspomniany Quisling). Polskiego nie dostrzegłem. Jest także Holokaust. Ale wcale niedominujący w tej narracji. Jakiś taki rozproszony, chaotyczny właśnie w sposobie przedstawienia.

Holokaust wraca jednak na kolejnym, trzecim piętrze. Jako przestroga i oskarżenie. Osobną część piętra wypełnia problem pamięci o Holokauście (sama zbrodnia zajmuje bez porównania mniej miejsca). Na jednej ścianie: wzorcowa pamięć niemiecka i austriacka. Na drugiej, naprzeciwno, kłopoty z pamięcią u innych (współsprawców): to jest zwłaszcza u Polaków, a także u Francuzów i Ukraińców. Tylko te narody są uwzględnione akurat w tej części wystawy. Nad gablotą z egzemplarzem książki Jana Tomasza Grossa o Jedwabnem wielkie słowa prezydenta Kwaśniewskiego przeprosinami w imieniu narodu, który jakby jeszcze do tych przeprosin nie dorósł. Głos z tabletu wyjaśnia

zwiedzającym: po II wojnie Polacy wyeliminowali całkowicie Holokaust z pamięci, gdyż rządzący narzucili jedynie pamięć komunistycznej partyzantki. To nawet logiczne, zgodne z wcześniejszą narracją Domu Historii: skoro w Polsce nie było w czasie II wojny żadnego godnego uwypuklenia narodowego ruchu oporu, to należy chyba założyć, że był może jednak jakiś ruch komunistyczny, skoro Stalin i jego armie odegrały kluczową rolę w zwycięstwie nad „nazizmem”. Zatem tylko to Polacy mieli do wyboru po 1945 r.: pamiętać o swoim współsprawstwie w Holokauście albo trzymać się oficjalnej opowieści o AL i GL.

Że mogło być jakieś jeszcze – wyjątkowe w swej skali w całej Europie – niezależne od komunistów polskie Państwo Podziemne, że była AK, że były też „spore” (przecież na pewno przekraczające 1 mln cywilów) ofiary polskie, nie tylko żydowskie, na tej ziemi, też warte pamiętania) – o tym akurat w tej części wystawy nie ma żadnej wzmianki. Nie ma, rzecz jasna, żadnej informacji o największej liczbie Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, pochodzących z Polski. Nie, w tym miejscu ma być tylko wstyd. Dopiero Jan Tomasz Gross, podkreśla głos z tabletu, oświecił Polaków. Ale niestety wciąż nie wszystkich. Nie wszyscy jesteśmy jeszcze na poziomie wzorcowej, niemieckiej pamięci o Holokauście, zawstydzają nas mocno ta ważna część wystawy.

* * *

Na kolejnym, trzecim piętrze ekspozycji (a czwartym samego budynku muzeum) wchodzimy w etap zimnej wojny i podziału Europy. I tu zachowany jest swoisty balans. Na jednej ścianie przemiany w Europie Wschodniej, nie całkiem demokratyczne – ale naprzeciwko widzimy, że

jeśli był podział i brak demokracji, to wina była za to równo rozłożona: na amerykańskich imperialistów i narzucony przez nich wyścig zbrojeń oraz na odpowiadającego na to wyzwanie Stalina.

Iskierka nadziei błyska jednak w Europie Zachodniej - w odpowiedzi na horror zrodzonej z nacjonalizmów wojny powstaje idea zjednoczenia kontynentu, unii opartej na koncepcji zwalczania nacjonalizmów. Przypominają o tym popiersia ojców założycieli, Monneta, Schumanna, Becha, Spaaka i innych (ciekawa rzecz, że w Domu Historii Europy zabrakło miejsca dla wyeksponowania wcześniejszych idei zjednoczenia kontynentu w pokojowej federacji: dla Sully'ego, Penna, Kanta, Czartoryskiego...).

Wielka sala na tym piętrze odtwarza podstawę tej zjednoczeniowej obietnicy w Europie Zachodniej: budowanie społecznego bezpieczeństwa - samochód dla każdego (symbolizowany przez Fiata 500), telewizor, przyzwoite mieszkanie, opieka zdrowotna itp. Ciekawa rzecz, że zabrakło tutaj fantazji kuratorom wystawy, by zwrócić uwagę na kapitalną rolę kultury masowej, kultury pop, w tworzeniu istotnie wspólnej przestrzeni europejskiej. Jakże prosiłoby się tutaj przypomnienie znaczenia Radia Luxemburg, źródło informacji o najnowszych przebójach z Anglii czy Francji i dla Europy Wschodniej, jakże prosiłaby się wzmianka o Beatlesach, a może - niezależnie od tego, co myślimy o wartości tej imprezy - o festiwalu Eurowizji... To jest przecież najniższy, ale rzeczywiście wspólny mianownik kulturowej jedności naszego kontynentu, a przynajmniej jego mas.

* * *

Na następnym piętrze docieramy już do przedpokoju dzisiejszej Europy. Od kryzysu naftowego lat 70., dołączania do struktur EWG nowych krajów, wyzwających się spod dyktatury (Grecja, Hiszpania, Portugalia) dochodzimy do magicznej daty, jak podkreśla wystawa - 200-lecia Wielkiej Rewolucji Francuskiej. I ta magiczna data przynosi wreszcie zmianę.

Nie ma na tej wystawie w ogóle Jana Pawła II (w każdym razie nie jest na tyle wyeksponowany, by którakolwiek z osób, z którymi zwiedzałem Dom Europejskiej Historii, zauważyła tę postać).

Jest tylko złowrogi cień Kościoła katolickiego, w postaci egzemplarza *Humanae vitae*, potępiającej antykoncepcję encykliki papieża Pawła VI. Zderzona jest z wyłożonymi obok w gablocie przerażającymi szczypcami do aborcji.

Do jakich nieludzkich męczarni zmusza Kościół walczące o swe prawa nowoczesne kobiety - nad tym mamy się zastanowić, a nie nad tym, czy Kościół np. w postaci Jana Pawła II odegrał jakąś rolę w obronie praw człowieka za żelazną kurtyną.

Komunizm w Europie Wschodniej, ukazywany wcześniej jako coraz bardziej fasadowy, coraz bardziej oddalony od szczytnych ideałów Marksa, ulega w końcu, jakby sam z siebie, demokratycznej transformacji. Można się przyjrzeć jej przebiegowi na nieco ponad 7-minutowym filmie. Zaczyna się od okrągłego stołu w Polsce. Nie

wiadomo dlaczego, ale chyba z dobrego serca (bo o żadnej wcześniejszej opozycji nie ma tu mowy), władcy PRL decydują się spokojnie podzielić odpowiedzialnością za kraj ze społeczeństwem.

Ten fragment oraz późniejsza migawka z wyborów 4 czerwca zajmują w sumie nieco ponad minutę. Kilkadziesiąt sekund zajmują łącznie informacje o „rewolucjach” i przemianach w takich krajach jak Czechosłowacja, Węgry, Bułgaria, Rumunia. Ponad 5 minut, czyli 70 proc, całej opowieści o roku 1989 w Europie Wschodniej, zajmują Niemcy: od uciezek obywateli NRD przez Węgry, po „obalenie” muru berlińskiego. Tylko to się naprawdę liczy, tylko to ma w tej opowieści jakiś sens.

Jako kontrapunkt tego berlińskiego happy endu pokazana jest wojna na terenie Jugosławii. Narracja muzeum nie pozostawia żadnych wątpliwości: źródłem tej wojny są religie i nacjonalizmy (nie żadna tam utopia federalnego komunizmu, maskująca faktycznie imperialne ambicje najpierw Tity, a potem Milosevicia: winne muszą być zawsze nacjonalizm i religia). Koniec zimnej wojny umożliwia jednak wreszcie mądre zjednoczenie kontynentu. Jak podaje oficjalna broszura omawiająca całość wystawy: „Narody [(państwa narodowe) zgadzają się oddać coraz więcej i więcej ze swych kompetencji, aby osiągnąć ponadnarodową efektywność”. Kryzys finansowy i kryzys euro w roku 2008 są testem „europejskiej solidarności”.

Z tym przesłaniem wspinamy się w końcu na najwyższe piętro, na którym czeka na nas uśmiechnięty przewodniczący van Rompuy, odbierający pokojową Nagrodę Nobla dla Unii Europejskiej. Jesteśmy już w raju, a w każdym razie blisko. Z tyłu podobno są gdzieś

umieszczone jakieś głosy krytyczne - np. plakietki z kampanii na rzecz Brexitu. Ale po całej tej wystawie wiemy już, co myśleć o takich głosach. Wiemy już, na czym opiera się nowa europejska tożsamość. Opiera się na strachu. Na strachu przed powrotem do koszmarnej przeszłości, jaka dominowała na tym kontynencie przed początkiem zjednoczenia, prowadzącego do dzisiejszej formy Unii, do przewodniczących Tajaniego, Junckera i Tuska.

Ten strach jest być może uzasadniony. Wizja historii i „słusznej” pamięci, jaka stąd wynika,

jest jednak szokująco prymitywna i wywołuje raczej lęk o teraźniejszość naszego kontynentu.

Europa sięga swą przeszłością przynajmniej do czasów Karola Wielkiego, a podejmuje jeszcze znacznie starsze dziedzictwo kultury śródziemnomorskiej, rzymskiej i greckiej, splecionej z religijną tradycją judeochrześcijańską. Redukcja tej arcybogatej i skomplikowanej historii przeprowadzona w brukselskim Domu przypomina schemat najbardziej nacjonalistycznej historiografii typu XIX-wiecznej narracji Treitschkego albo najbardziej tępej komunistycznej propagandy z czasów Józefa Stalina: od zła i rozbicia do dobra i zjednoczenia, od ciemności do światła - tyle że to światło nie bije teraz od Bismarcka i tworzonej przez niego II Rzeszy, nie od Kremla z czerwoną gwiazdą na wieżach, ale z murów przypominającego najpaskudniejszy dworzec - supermarket Parlamentu Europejskiego.

Czego w tej wizji brakuje, kto ją stworzył i jak ona się komponuje z szerszym brukselskim kontekstem - o tym postaram się opowiedzieć w następnym odcinku raportu z Domu Umarłych.

Relację Nowaka publikujemy dzięki uprzejmości redakcji "wSieci", tekst ukazał się pierwotnie w 25 nr tego tygodnika w 2017 roku.